

Zanzibar

Wyspa Tumbatu



Miasto Zanzibar
i Stone Town

Jozani
Forest



Afryka



Ocean Indyjski





Wąż z Zanzibaru

Przy wejściu do sklepu tłoczyły się maski z wylupianymi oczami, prężyły hebanowe lwy i żyrafy. Poczulałam jak po plecach pod koszulą spływa mi strumyk potu. Było gorąco. Czterdzieści stopni w cieniu. Nawet drewniana zebra na wystawie zdawała się dyseć z upału. Wyciągnęłam głowę, żeby jej się lepiej przyjrzeć. Naprawdę wydawała się poruszać. Paski na jej drewnianej skórze tańczyły w rytm promyków światła. A może to cień stojących za nią ram do obrazów? Dziwne... Przysunęłam się jeszcze bliżej i nagle zamarłam. Spomiędzy obrazów wypełził wąż. Ogromny, czujny, napięty. Gruby jak męskie ramię, jasnobrązowy, z wielkimi ślepiami.

Wszyscy zaczęli uciekać. Ja też, ale im szybciej biegłam, tym mocniej czułam, że prawie mnie dotyka rozwidlonym, głodnym językiem.



Spomiędzy obrazów wypatrzy
wąż. Ogromny, ciżmy,
napisty. Wsypuły kureli
uciekaj, ja tei!



– On ciebie wybrał! – usłyszałam nagle głos. – Nie uciekaj! Zatrzymaj się! Pozwól mu podejść!

Posłusznie stanęłam. Wąż natychmiast wślizgnął się na moje stopy, a potem zaczął się okręcać i wspinać po moim ciele coraz wyżej i wyżej. Czułam na szyi dotyk jego miękkiej, gładkiej skóry. Przesuwała się po moim ramieniu, sięgała policzka. Próbowałam się od niego uwolnić, ale nie byłam w stanie zdjąć z siebie potężnych, pulsujących mięśniami splotów.

– Nie musisz z nim walczyć! – odezwał się znów ktoś. – Poddaj mu się, wtedy odzyskasz spokój!

Głowa węża znalazła się właśnie na wysokości mojej twarzy. Spojrzałam mu prosto w żółte ślepia. I wtedy się obudziłam.

Noc była ciepła i pełna śpiewających cykad. W oddali szumiał ocean, uderzając od niechcienia falami o brzeg, tak jakby prowadził perkusyjną próbę orkiestry rozpisanej na wodę i piasek. Zamknęłam znów w oczy i zapadłam w sen.

Zanzibar to niewielka wyspa na Oceanie Indyjskim, kilkadziesiąt kilometrów od wybrzeży wschodniej Afryki. W przeszłości życie toczyło się tam spokojnie. Najpierw przybyli ludzie z plemion Bantu, potem Arabowie z Jemenu. Uprawiali ziemię, zbierali owoce i nie mieli potrzeby organizowania się w jednolite państwo. Dlatego gdy z Europy przybyli Portugalczycy, szybko przejęli władzę na wyspie i ogłosili się jej królami.

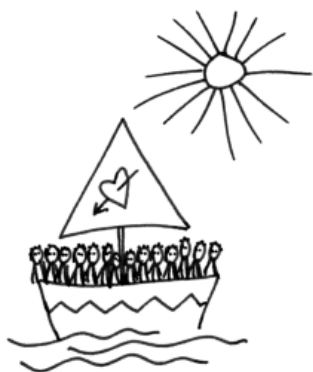
Pewnego dnia do portu przybyły śmigłe arabskie łodzie o trójkątnych żaglach. Były to czasy, kiedy podróżowano wyłącznie tak, jak chciała natura. Żeglarze wyruszali na ocean, z trwogą wpatrując się w horyzont, a monsunowy wiatr pchał ich w tylko sobie znanym kierunku. Tak właśnie na wyspie pojawili się poddani sułtana Omanu.

Nie była to wyspa ogromnie ważna czy bogata, miała jednak jedną bardzo poważną zaletę. Posiadała fajny port, w którym można było się schronić i urządzić w nim bazę do wypadów na stały ląd.

Arabowie szybko więc wypędzili Portugalczyków i zajęli się niezwykle dochodowym handlem egzotycznymi przyprawami, kością słoniową i niewolnikami.

Gdziekolwiek to było możliwe, zakładano plantacje goździków, cynamonu, wanilii, pieprzu i gałki muszkatowej. Duża część wyspy jest jednak nieurodzajna, bo cienka warstwa gleby leży na skamieniałej rafie koralowej. Świat jeszcze nie znał plastiku, w ogromnej cenie były więc słoniowe ciosy, z których robiono klawisze do fortepianów, kule bilardowe i wiele innych pożytecznych i pięknych przedmiotów.

Trzecią zaś gałęzią przemysłu byli niewolnicy. Zanzibar stał się największym portem przeładunkowym we wschodniej Afryce. Słynny podróżnik i eksplorator David Livingstone był świadkiem wywożenia niewolników z Afryki i z przerażeniem relacjonował, że do miejsca przeznaczenia żywa dociera jedynie jedna piąta każdego transportu. Nie-



Na Zanzibar przywieziono
tysiące niewolników
z wschodniej Afryki



wolników chwymano podstępem. Najczęściej biały handlarz docierał do wrogiej wioski i obiecywał nagrodę w zamian za jeńców. Bywało też tak, że wodzowie najbiedniejszych osad osobiście sprzedawali część swoich obywateli, których i tak nie można było wyżywić.

Niewolników związanych długim sznurem prowadzono ku wybrzeżu. Chorych zostawiano po drodze na łaskę dzikich zwierząt. Za brak posłuszeństwa karano śmiercią.

Potem ładowano ich na otwarte łodzie, gdzie przez wiele dni na zmianę paliło ich gorące, tropikalne słońce, albo siekł lodowaty deszcz. Tubylcy z głębi łądu, nienawykli do kołysania łodzi na falach, cierpieli na morską chorobę. Nie mieli prawie nic do picia ani jedzenia i był to celowy zabieg handlarzy niewolników, którzy liczyli na to, że wyczerpanie fizyczne skutecznie zniechęci kogokolwiek do próby spisku czy buntu. Jeśli po dopłynięciu do celu ktoś był zbyt słaby, żeby wyjść z łodzi o własnych siłach, zostawiano go na pokładzie, żeby tam umarł, bo zabranie go na łąd oznaczałoby konieczność zapłacenia cła.

Przy dobrym wietrze łodzie nie zatrzymywały się na Zanzibarze, tylko płynęły dalej, aż do stolicy Omanu na Półwyspie Arabskim, gdzie za każdego niewolnika można było dostać sumę pięciokrotnie wyższą. O ile oczywiście przeżył, bo podróż trwała ponad miesiąc.

Władcą Zanzibaru był wtedy omański sułtan Said ibn-Sultan. Od dawna miał słabość do tej tropikalnej wyspy. Był zachwycony, kiedy po raz pierw-

szy na nią przybył. Podczas drugiej podróży wpadł na pomysł, który udało mu się zrealizować kilka lat później. W 1840 roku Said ibn-Sultan przeniósł stolicę swojego państwa z Maskatu na Zanzibar, i czym prędzej osobiście przeprowadził się na ulubioną wyspę.

I wcale mu się nie dziwię. Z samolotu wygląda jak nieregularnego kształtu szmaragd rzucony w błękitną toń oceanu. Miałam ochotę chwycić go w dłoń, schować do kieszeni i zawsze nosić przy sobie.

Następnego dnia zamilkłam z zachwytu, kiedy wjechaliśmy w Drogę Wielu Drzew Mango, czyli Bungi Mwembe Mingi. Codziennie wcześniej rano miejscowe dzieci biegną pod mangowce, żeby pozbierać owoce, które spadły z nich nocą. Sprzedają je potem za grosze, ale dla niektórych rodzin w trudnych czasach jest to jedyne źródło dochodu. Zgodnie z zanzibarskim prawem, jeśli mango samo spadnie z drzewa, należy do znalazcy.

Ogromne mangowce o wąskich, błyszczących, ciemnozielonych liściach rosną ciasno po obu stronach drogi przez kilka kilometrów. To tam właśnie pewnego poranka zobaczyłam wielkiego płowego lwa, który krył się za jednym z pni. Przetarłam oczy, przykleiłam nos do szyby samochodu. Lew? Na Zanzibarze? Kiedyś żył tu kuzyn afrykańskiego lamparta, który w epoce lodowcowej zabłąkał się na skraj lądu, a kiedy ziemia odłamała się i utworzyła wyspę, został odcięty od lamparciej rodziny i wyewoluował w nowy podgatunek zwany lampartem zanzibarskim. Ludzie mówią, że lamparty na wyspie nie były

zwykłymi zwierzętami. Podobno znajdowały się na służbie miejscowych czarownic i na ich zlecenie pożerały ludzi. Nie ma oficjalnych danych dotyczących tego, jak dzisiaj wygląda świat czarnej magii na Zanzibarze, wiadomo jednak, że wszystkie lamparty na wyspie zostały zabite.

Czy mogłabym jednak pomylić lamparta z lwem? Ależ skąd. Lampart ma przecież wyraźne ciemne cętki, podczas gdy lew ma skórę jednolicie płową. I rzeczywiście oczy mnie nie zawiodły. Ogromne zwierzę kryjące się za mangowym drzewem nie posiadało cętek. Miało gładką jasnobrązową skórę, ciężki łeb i niemrawą minę. I było krową.

W Kamiennym Mieście jest gorąco. Żar leje się z nieba i odbija od murów. Nie pomaga nawet ciepły, słony wiatr wiejący od oceanu, bo kiedy człowiek wejdzie w labirynt ciasnych zaułków, ciemnych podwórek i niebotycznych ścian kamiennych domów, traci poczucie rzeczywistości.

Gdyby jednak przenieść się w czasie o sto pięćdziesiąt lat i zobaczyć jak powstawało, zdumienie byłoby jeszcze większe.

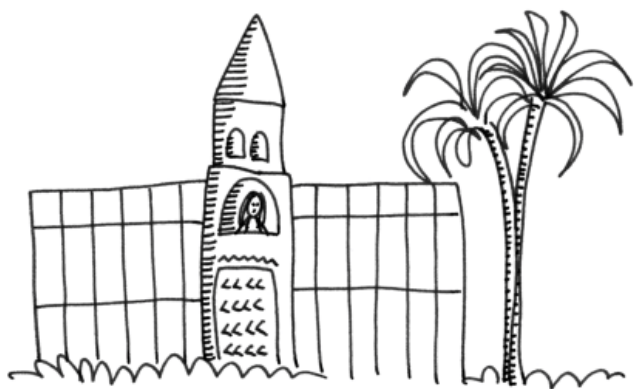
Najważniejszym elementem każdego zanzibarskiego domu były drzwi. Nie tylko dlatego, że można było przez nie wejść do środka. Drzwi były symbolem bogactwa i pomyślności, wizytówką ich właściciela. Dlatego najbardziej zamożni Arabowie najpierw zamawiali i stawiali drzwi, a potem dopiero dookoła nich budowali swój dom.

Na niektórych, zgodnie z modą przywieziona z Indii, nabijano potężne metalowe kolce. W oj-

czyźnie maharadzów było to jedyne w pełni skuteczne zabezpieczenie przed włamaniem, ponieważ sprytni złodzieje nie męczyli się z robieniem podkopów czy używaniem łomu. Wystarczyło wsiąść na wytresowanego słonia, który ciężarem swojego ciała był w stanie staranować każdą przeszkodę, łącznie z największą bramą prowadzącą do pałacu.

Jednego jednak słoń nie lubił – kiedy w skórę wbiły mu się żelazne kolce. Dlatego dostępu do najbogatszych domów broniły drzwi wyposażone w kilka rzędów groźnie sterczących, błyszczących w słońcu bolców. Początkowo rzeczywiście była to zaporą nie do pokonania. Podczas podróży po południowych Indiach usłyszałam jednak o pewnej wojnie prowadzonej w pobliżu Adzanty, gdzie nieprzyjacielskie wojska otrzymały rozkaz zdobycia fortu. Brama oczywiście była najeżona mosiężnymi kolcami. Żaden słoń nie dałby jej rady, bo instynktownie cofał się czując ból i uciekał przed raniącymi kolcami. Żołnierze wpadli na szatański pomysł. Przed bramą postawili wielbłąda. Podprowadzili bliżej słonia, a potem wbili mu w zad wielką igłę, odcinając jednocześnie możliwość odwrotu. Słoń przerażony bólem popędził więc przed siebie, taranując wielbłąda, który został rzucony na drzwi, nabijając się na sterczące z nich kolce. Ciało wielbłąda stało się miękką poduszką dla słonia, który siłą rozpędu zmiotł bramę i tym samym otworzył drogę do wnętrza fortu.

Drzwi nabijane potężnymi kolcami stały się więc symbolem bogactwa, ponieważ przekazywały prosty komunikat: „Posiadam w domu tyle bogactwa, że na



Beit El Ajaib - Dom Cudów,
gdzie zamontowano
pięćszą windę, na
Zanzibarze ☺



pewno ktoś będzie chciał mi je ukraść. Dlatego muszę mieć takie pancerne drzwi.”

Dlatego więc – mimo że na Zanzibarze słonie nie mieszkały i nie zmieściłyby się nawet w wielu krętych uliczkach Kamiennego Miasta – w XIX wieku zapanowała moda na drzwi z kolcami. Do dzisiaj wiele z nich dzielnie strzeże bezpieczeństwa swoich właścicieli.

Następnym ówczesnym cudem świata był pałac świeżo zbudowany dla nowego sultana. Został nim Barghash ibn-Said, jeden z trzydziściorga sześciorga dzieci pierwszego sultana, czyli Said ibn-Sultana, o którym pisałam wcześniej. Barghash zaraz po wstąpieniu na tron Zanzibaru zrobił dwie rzeczy, które wydawały mu się najważniejsze: najpierw wtrącił młodszego brata do więzienia, gdzie w wilgotnym lochu spędził trzy lata zakuty w kajdany z łańcuchami, a potem polecił zbudować nowy okazały pałac. Miał stać w pobliżu oceanu, tak żeby w pałacowych komnatach czuło się orzeźwiający, słony wiatr.

Oba rozkazy niezwłocznie wykonano. Brat gnął w więzieniu, a pałac stał się najbardziej okazałym budynkiem na wyspie. Miał kilka pięter wysokości, wiele komnat, balkonów i kolumn, został też wyposażony w absolutnie nowatorskie i zdumiewające wynalazki, takie jak elektryczność oraz najprawdziwsza winda. Dlatego mieszkańcy Zanzibaru natychmiast nazwali ten pałac Beit El Ajaib, czyli Domem Cudów, i tak się nazywa do dziś.

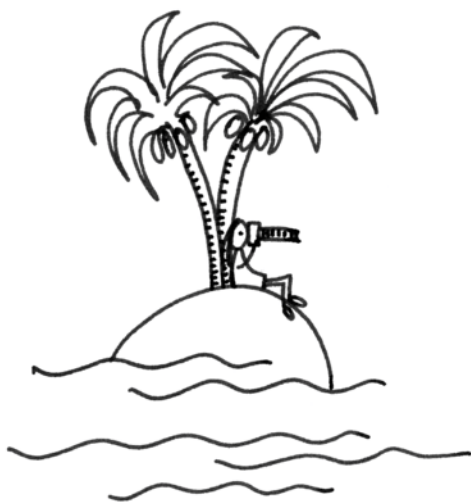
Nieopodal, przy ulicy Kenyatta, stoi dom, gdzie na świat przyszedł pewien cudowny chłopiec, któ-

remu nadano imię Farrokh Bulsara. Był 5 września 1946 roku. Dziewięć lat później Farrokh został wysłany do ojczyzny rodziców, czyli do Indii, gdzie w pobliżu Bombaju rozpoczął naukę w szkole z internatem. Tam założył swój pierwszy zespół muzyczny o dość wiele mówiącej nazwie The Hectics. I prawdopodobnie właśnie wtedy Farrokh zaczął się przedstawiać jako Freddy. Kiedy miał siedemnaście lat, wraz z całą rodziną przeprowadził się do Anglii. Reszta – jak mawiają mieszkańcy tego kraju – jest już historią. Freddie skończył politechnikę, ale nie widział siebie w roli inżyniera. Sprzedawał używane ubrania na targu w Kensington i zakładał kolejne kapale, wymyślając im coraz to bardziej osobliwe nazwy. Najpierw był zespół Ibex, czyli Koziorożec alpejski, potem Wrak statku (Wreckage), aż wreszcie Morze kwaśnego mleka (Sour milk sea). Koledzy muzycy nie oponowali.

Następny zespół nazywał się Smile, czyli Uśmiech, ale Freddy uparł się, żeby jego nazwę zmienić na coś absolutnie spektakularnego. Cóż może się kojarzyć bardziej okazale niż słowo Queen – czyli Królowa?

Wtedy też do imienia Freddy dodał wymyślone nazwisko Mercury. I tak już zostało.

Po raz pierwszy przyleciałam na Zanzibar samolotem z Mombasy. Tego samego dnia po południu przeszłam obok Domu Cudów, kierując się w stronę tajemniczej bramy. Wydawała się tak samo pełna magii, jak drzwi stojące na granicy między rzeczywistością a światem snu.



Po raz drugi przyplłynęłam na Zanzibar statkiem z Dar es-Salaam. Już w porcie natychmiast dostrzegłam znajomą bramę i ruszyłam w jej kierunku.

Teraz byłam na Zanzibarze trzeci raz. Przyleciałam spod Kilimandżaro. O świcie dotarłam na puste nabrzeże, minęłam po lewej stronie Dom Cudów i znów zanurzyłam się w chłodny cień bramy, oddzielającej szeroką ulicę zalaną słońcem od wąskich zaułków miasta przeszłości.

Uliczek nie projektował żaden architekt. Powstały przypadkiem, przy okazji rozdzielania od siebie murów ciasno stłoczonych domów. Dlatego bieżną czasem ukosem, gwałtownie zakręcają, zwężają się albo kończą na ścianie. Są nieprzewidywalne i nigdy nie wiadomo dokąd cię doprowadzą. Lubię się zgubić w tym labiryncie, wędrując bez pośpiechu, odnajdując znajome murki, gdzie w wąskim pasku słońca przeciskającego się między murami leży rudy kot. Naprzeciwko dziewczyna w czarnej muzulmańskiej burce gra w bao z koleżanką.

Bao to jedna z najstarszych gier planszowych świata. Na pewno grali w nią starożytni Egipcjanie, bo znaleziono kamienne plansze do bao w Luksorze, Tebach i w Memfis. Specjalnie zaprojektowana plansza zresztą nie jest konieczna – i dlatego pewnie gra stała się niezwykle popularna najpierw w całej Afryce, a potem także poza nią. Najważniejszy jest czas, który można grze poświęcić, bo rekwizyty do rozgrywki same się znajdują. Wystarczy zrobić cztery rzędy dołków w piasku i znaleźć 48 muszli, ziaren fasoli albo kamyków.

Na początku do prawie wszystkich dołków wysypuje się po dwa kamyki. Gra polega na tym, żeby zgodnie z zasadami przesypywać kamyki do kolejnych dołków, tak aby ostatecznie uzbierać ich najwięcej albo uniemożliwić przeciwnikowi zrobienie następnego ruchu. Każda rozgrywka jest niezwykle wciągająca, a im lepiej się ją zna, tym większe budzi emocje.

Muzułmanka w czarnej burce nie zwracała uwagi na to, co dzieje się dookoła. To zupełnie typowe dla gracza w bao. Była tak pochłonięta kamykami trzymanymi w garści, że nawet kiedy podeszłam z aparatem do jej zasłoniętej twarzy, nie oderwała oczu od planszy. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie z zaskoczeniem, że ubrana na czarno muzulmanka siedzi nad planszą w kształcie chrześcijańskiej ryby, a jej młodsza koleżanka ma na sobie różowe hinduskie sari. Islam, chrześcijaństwo i hinduizm zjednoczone nad jedną drewnianą planszą z dołkami.

Bao na Zanzibarze to także dzieła sztuki, pięknie rzeźbione w hebanowe słonie i baobaby, składane i zamykane jak pudełko, żeby zawsze i wszędzie można było mieć je ze sobą. Wtedy wystarczy w wolnej chwili usiąść na murku, wsypać kamyki do dołków w hebanowej planszy i grać.

Zatrzymałam się przy wózku sprzedawcy plasterów świeżego ananasa. Wydawał się tak samo dziwnie nierealny jak sułtan w Domu Cudów. I na przekór wszystkim rozsądnym radom o unikaniu surowych owoców i ulicznych budek z przekąskami, zjadłam dwa pyszne kawałki słodkiego ananasa. Egzotyczne

owoce dojrzałe w tropikalnym słońcu i pełne aromatycznego soku to jedna z największych przyjemności podróży. Nigdy ich sobie nie odmawiam.

Za następnym zakrętem tubylec w poplamionej koszuli i białej muzułmańskiej czapce na głowie sprzedawał pieczone kawałki manioku z rusztu, pakując je w kartki wyrwane z używanego zeszytu. Jak pysznie smakowały w gorący zanzibarski dzień!...

Wtopiłam się w Kamienne Miasto jak jaszczurka, która przystaje w bezpiecznej szczelinie między murami przeszłości i przyszłości, wystawiając plecy do ciepłych promieni słońca. Nie myślałam o niczym, zapomniałam o reszcie świata. Szłam przed siebie, fotografowałam, patrzyłam, chłonełam zapach cienia i dźwięk muzyki.

Nagle stanęłam.

Na murku leżały fragmenty rzeźb. Niedokończone szkatuły i skrzynki, chuda zebra bez pasków, zakurzone maski. To miejsce wydało mi się znajome. Zanim zdążyłam sobie uświadomić z czym mi się kojarzy, na ulicę wyszedł rzeźbiarz. Widać było, że właśnie wstał od pracy. Na rękach i ubraniu miał drewniane wiórki, a na twarzy wyraz skupienia.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy i znów odniosłam dziwne wrażenie, że gdzieś go już wcześniej spotkałam.

– To jeszcze niegotowe – odezwał się, wskazując na fragmenty rzeźb.

Pokiwałam głową, usiłując sobie przypomnieć skąd go znam.

– Ale jeśli chcesz coś kupić, to zapraszam tutaj
20 – przesunął się kilka kroków do następnych drzwi, za

którymi tłoczyły się kufry i skrzynie, dziesiątki ram do obrazów i drewniane zwierzęta. Natychmiast dostrzegłam czarną błyszczącą ramę z hebanu.

Heban to dziwne drzewo. Na zewnątrz jasnobrązowe, dopiero dwa centymetry pod wierzchnią warstwą ukrywa się czarny, twardy, ciężki rdzeń, który po wydobyciu na światło dzienne, oczyszczeniu i wypolerowaniu zaczyna błyszczeć jak klejnot.

– *Ebony* – potwierdził rzeźbiarz. – Heban.

Wzięłam ramę do rąk. Była ciężka, rzeźbiona w baobaby, słonie i nosorożce. Przepiękna.

– Tak bardzo mi się podoba, że muszę ją mieć – powiedziałam bez namysłu.

I prawie od razu uzmysłowiłam sobie, że przecież jestem w Tanzanii, gdzie niczego nie kupuje się po pierwszej cenie, bo ogólnie przyjętym zwyczajem dla obu stron jest to, że cenę ustala się na drodze długich negocjacji.

– Naturalnie po stargowaniu ceny – dodałam więc jak najszybciej.

– Nie u mnie – odrzekł równie szybko rzeźbiarz. – U mnie nie ma targowania. Taniej i tak nie kupisz. A jeśli znajdziesz gdzieś to samo po niższej cenie, to oddam ci pieniądze.

Mówił rzeczowym tonem, z błyskiem humoru w oczach. Widać było, że lubi swoją pracę i cieszy się zarówno zapachem świeżego drewna, jak i naszą rozmową.

– A to? – zapytałam, biorąc do rąk ciężką, ciemnopomarańczową ramę rzeźbioną w charakterystyczne zanzibarskie motywy stylizowanych palm daktylowych, okrętowych sznurów i winogron.